

Warszawa dnia 1 (13) Listopada 1867 roku.

Nr 46. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.

ZOFJÓWKA.

Od niepamiętnych czasów ludzie starali się uprzyjemnić sobie swoję doczesną po ziemi wędrówkę, urządzając na niej wspaniałe ogrody czyli parki, które ogromne nieraz summy pochłaniały. Rzekłbyś, że człowiek w tych rozkosznych przybytkach szczęścia i spokoju, chciał zapomnieć o raju, z którego wygnanym został. Jedne z nich naśladowały do złudzenia przyrodę, inne dbały więcej o sztuczne ozdoby: pierwszego z tych systematów trzymali się Anglicy, drugiego Francuzi.

Grecy jeszcze za czasów Homera, posiadali ogrody owocowe porządnie zasadzone. Babilon odznaczał się wiszącemi ogrodami Semiramidy, które do cudów świata zaliczone. Niemniej pięknemi musiały być ogrody Kleopatry, o których jednak bliższych szczegółów nie mamy. W Grecji na trzy i pół wieki przed Chrystusem, słynęły ogrody Fryny i Cymona. U Rzymian już bardziej szczegółowe znajdujemy opisy ogrodów, a mianowicie Pliniusz opisuje dwa swoje ogrody w willach: Laurentium i Tuscum. Za cesarza Augusta wszedł zwyczaj obcinania drzew w ogrodach, które w ogóle zdaje się, iż były urządzone w tenże sam sposób jak dzisiejsze



Wodotrysk w Zofjówce na jeziorze. (Drzeworyt Petersburgski).

francuzkie. Wyjątek pod tym względem stanowiły ogrody Nerona i Adrjana, które raczej do angielskich były podobne.

W wiekach średnich i później wielką sławę miały ogrody włoskie. W Niemczech ogrodnictwo dosyć powoli się rozwijało. Do Francji zaś i Anglji przeszło ono z Włoch, zasadzało się z początku na ślepem naśladowaniu; w pierwszym z tych krajów obudził popęd do zakładania ogrodów król Franciszek I, w drugim kardynał Wolsey i królowa Elżbieta. Właściwe jednak francuzkie ogrody powstały dopiero od roku 1680, w którym budowniczy Le Notre założył sławny ogród Wersalski. Sztuczne te, pełne przesady i nienaturalności ogrody, stały się wnet wzorem dla całego świata, jak wszystko co z Paryża pochodzi. A żezwykle dzieje się na świecie, iż naśladowane złe jeszcze większem złem się staje niż sam oryginał, to też i tu inne kraje prawdziwą karykaturę zrobiły z ogrodów francuzkich. Nadewszystko Hollandja przed innemi w tej mierze celowała. W Anglji jednak wnet się poznano na wadliwości tego stylu, i już od początków ośmnastego wieku powstały właściwie angielskie ogrody. Systemat angielski począł upowszechniać się nie tylko w Niemczech ale i we Francji, gdzie jednak począł się wkrótce wyradzać w smak chiński. Ostateczna jednak reformaogrodów, dokonaną została w Niemczech, przez Schella z Weilburga. Systemat jego zasadza się na jak największem zbliżeniu do przyrody. Odtąd mnóstwo urządzano ogrodów angielskich w całej Europie. Sztuka jednak ogrodnicza najwyższego szczytu dosięgła w wieku zeszłym i odtąd raczej użytek, aniżeli przyjemność poczęto mieć na względzie.

Zofjówka, opiewana przez Stanisława Trembeckiego w poemacie tegoż samego nazwiska, Zofjówka którą słusznie poczytują za cud Ukrainy, — leży w Kijowskiej gubernji, o wiorstę od miasta Humania. Jeszcze w roku 1796 na miejscu gdzie obecnie znajduje się sławny ten ogród, było puste pole usiane odłamami granitu, pośród których przebiegał strumień; w kierunku ku miastu Humaniowi ciągnęła się dolina zwana Kamionką, a na okolicznych wzgórzach, pasły się jak powiada Trembecki w swoim sławnym poemacie „Wiatronogów," liczne stada. Szczęsny Potocki b. właściciel tej miejscowości, postanowił założyć tu wspaniały ogród dla swej żony Zofji, od której imienia ogród został nazwany, nie szczędząc pracy i kapitałów. Zamiar ten potrafił urzeczywistnić zdolny i utalentowany inżynier Ludwik Metzell, przy pomocy miejscowych włościan, nie wypisując wcale z zagranicy ani robotników, ani majstrów. Jestto jeszcze jeden dowód, że nie brak nam wcale zdolności, byle niemi tylko umiejętna ręka pokierować mogła.

Ogólny widok ogrodu przedstawia krętą górę, na pochyłości której pomiędzy skałami w rozmaitych kierunkach przebiegają alee i chodniki. Co krok napotykamy tu rozmaite wodotryski, kaskady, strumyki, potoki z pięknemi mostkami, wreszcie groty, kosztowne rośliny i posągi marmurowe. Jesttu kilka szpalerów wysadzonych samemi georginiami, są obszerne łąki zasiane najlepszemi kwiatami. W cieplarniach ananasowe, palmowe i figowe drzewa, uginają się pod owocami. Ze wszystkich stron, niby w jednym z owych zaczarowanych ogrodów o których baśnie nam prawią, najcudniejsze napotykamy krajobrazy.

Do wszystkich wodotrysków i kaskad, dostarcza wody wielki wodozbiór zwany *morzem słodkiem*. Od tego wodozbioru przeprowadzone są podziemne kanały w rozmaitych kierunkach. Są one tak obszerne i oświecone z góry, że wybornie można pływać po nich czółnem.

Obecnie ogród przeszedł na własność rządową i nazwany został *Humańskim ogrodem głównej szkoły ogrodnictwa*,—tutaj bowiem została przeniesioną ta szkoła z Odessy. W szkole tej kształcą się światli i biegli ogrodnicy, dla których też nie jest obojętną i nauka leśnictwa. Ogród zaś ze wszystkiemi swemi przynależnościami: jak parkiem, cieplarniami, treibhauzami i rozmaitemi oddziałami, utrzymuje się porządnie i czysto; koszta jego utrzymania wynoszą rocznie około 13,000 rubli.

Jeden z załączonych drzeworytów wyobraża największy wodotrysk w Zofjówce na jeziorze. Nic cudniejszego nad widok, jaki się w tem miejscu rozciąga! Nad jeziorem wznosi się taras zwany *skałą leukadską*, z którego można widzieć i wodotrysk i drogę wiodącą ku jezioru.

Drugi rysunek przedstawia „złamaną kolumnę." Stoi ona pomiędzy staremi drzewami, a trzy wodospady zwane *Truj łzy*, przelewają przy niej swe przezroczyste wody. Monument ten został wzniesiony na pamiątkę trojga zmarłych przedwcześnie dzieci Potockiego. *Mścisław Kamiński.*

ZAPŁATA NIEBIESKA.

PIEŚŃ Z LEGENDY,

(Ciąg dalszy.- Patrz Ner 45).

X.

„Ale kowalu —Piotr rzecze,
Bierz złoto, bo ci uciecze;
Ty lubo prawisz o świecie,
Ziemskie przynosisz tu dzieła,
A pieniądz znów ci kto zmiecie,—
Patrz, pierwsza kupka zniknęła."
— „Ha, Bogu ją tam polecić,"
Rzekł kowal, w górę wzniósł ręce,
A twarz zdawała się świecić,
Gdy wołał jakby w piosence:

„O wielki Boże, o Panie,
Jak jasne Twoje mieszkanie!
Jakże być muszą szczęśliwi
Ci, których widok Twój żywi!
„Zkąd ta anielska muzyka?
Miljon mil wzrok mój przenika,
Przez wieczne zorze bez chmury,
A nie wie gdzie są te chóry.

„Nuć duszo moja, jak błoga
Radość w światłości u Boga!
O wielki Boże, o Panie,
Tak jasne Twoje mieszkanie!"

Tak wołał kowal w zachwycie,
Łzy mu płynęły obficie
Po starem licu zoranem;
A wszędzie brzmiało hozanna,
Niby na ziemi pieśń ranna,
Gdy świat się budzi przed Panem...
— Kiedy ucichły przestrzenie,
Piotr święty przerwał milczenie,
Łaską przez oko tchnął wieszcze

I rzekł: co chce starzec jeszcze?
Tu kowal jakby zbudzony,
Przypomniał ziemskie swe strony
I mówił:
,,Wiatr wył na ziemi,
Kiedym lasami ciemnemi
Szedł, lecz nie zwykły wiatr, który
Nie straszy człeczej natury
Co się rozhula, pobieży,
I ziemię deszczem odświeży;
Nie—ten, co zadmą weń biesi,
Gdy się zły człowiek obwiesi,
Co kiedy zagrzmi to zda się,
Że się jest w wątłym szałasie,
Że ziemia jakby zlepiona
Drży, skrzypi, trzaska jak strona,
I z wielkim jęczy hałasem ;
Taki wiatr tylko grzmi czasem.
Wicher z tak strasznym nawałem
Raz ci w mej stronie widziałem:
Dachy on zrywa po miastach
A w lasach miecie jak w chwastach.
— Więc kiedy sosny odwieczne
Jak trzciny kładą się rzeczne,
Gdy dąb mi trzeszczał nad czołem
I w niepewności stanąłem
Szukając kędy się schronię...
W tem niedaleko, na stronie,
Matkę spostrzegam z dziecięciem
Jak je gorącem objęciem
Przytula... W groty otworze
Złożyła chłopię swe hoże;
Wichru nie sięga tam siła,
Skała ją odeń broniła,
I tylko liści kaskada
Kręcąc się z góry tam pada.
Drży ziemia, puszcza się łamie,
Ona nie widzi, nie słyszy,
I opiekuńcze swe ramię
Rozciąga błogo, jak w ciszy...
Tuż wiąz z korzeniem wyrwany,
Zwalił drzew mnieszych szeregi;
Ona podwaja zabiegi,
By śmiał się syn ukochany:
Gra więc jej uśmiech na czole
I z nią się śmieje pachole;
Cały świat dla niej w dziecięciu,
Cała potęga w objęciu
I szczęście w lubej swawoli...
— W tem z czarnej puszczy powoli
Wilk się podstępny ukaże,
I w uśmiechnięte dwie twarze
Straszne swe ślepie ustawi,
A wściekła chciwość go trawi...
Patrzy i stoi... wzrok błyska,
Jeden skok—meta tak blizka!
Stoi... oddycha zatratą,
Podnosi łapę kosmatą
I... w tył się cofa łagodnie,
Cicho przylega u kłody,
A zamiast śmierci lub szkody,
Tak się spogląda pogodnie,
Jak gdyby nie był złym zwierzem,
Lecz opiekuńczym żołnierzem.
W niemem zdumieniu czekałem,
Gotów obronić mem ciałem
Dziecię i matkę. Lecz przecie
Pogoda błysła na świecie;
Więc obejrzała się matka
I mnie spostrzegłszy i świadka,
Z trwogą rzuciła się ku mnie.
A ten zaś nie drgnął mi razu
I jakby pragnął wyrazu,
Tak się spoglądał rozumnie:
To było jego mieszkanie,
Wilk uczcił matki kochanie...
— A kiedym szedł z nią pod strzechę,
Ona swą niosąc pociechę,
Mego świadoma już celu,
W naiwnem spyta weselu:
,,Kiedy wrócicie, powiecie
Co jest najmilsze na świecie?"
— ,,Dla wielkiej duszy człowieczej,
Nie ma na świecie tej rzeczy,
Co ją jedynie zachwyca:
Dla oblubieńca dziewica,
Dla przyjaciela dłoń wierna,
Dla mędrca przestrzeń niezmierna,
Dla wieszcza Boskie stworzenie,
Dla starca lube wspomnienie,
Dla samotnika woń w kwiecie,
Dla matki lube jej dziecię."
Tak rzekł Piotr święty, a skronie
W żywszej mu błysły koronie,
A potem dodał: ,,Lecz za to
Między zbrodniami czarnemi,
Nic straszliwszego na ziemi,
Jak kiedy ojców swych chatą
Gardzi syn, kiedy w swej dumie
Rodzica uczcić nie umie,
A gdzie żywiła go praca,
Oko niewdzięczne odwraca..."
— To rzekł Piotr święty, a w twarzy
Tak ciężki ból mu się żarzy,
Że z każdej zmarszczki głębokiej,
Jak gdyby czarne obłoki
W górne uniosły się strony:
Aż światła jego korony
Zmalały w promyki drobne,
Lśniąc jak przez kiry żałobne...

XI.

,,Dzień już był prawie na schyłku,
Kiedym od drogi wysiłku
W dalszej ustawał podróży;
Patrzę... aż stoi kapliczka
W polu—jak biała duszyczka,
A nad nią krzyżyk nie duży.
Przy ścianach kwiaty, powoje,
Ręką żywione dziewczęcą,
Bo jeszcze dziewic wzrok nęcą
Świątyń urocze podwoje;
Tak mówi o tej czci Boga
Dwoje staruszków u proga.
Sto lat już liczył dziadzina
A babka setne zaczyna,
A tacy byli zgrzybiali,
Że już się ledwie ruszali.
Za to dziad modlił się szczerze:
Kończy, zaczyna pacierze,
I z taką mówi je skruchą,
Z taką pogląda otuchą
W niebo, jak gdyby raj śliczny
Był jego kątek dziedziczny.
Babka zaś nie tak: wciąż gderze,
Ciągle przerywa pacierze,
I na słów dziesięć, starcowi

Jedno przynajmniej złe powié.
Co ośmdziesiąt lat temu
Zdarzyło mù się biednemu,
Wyrecytuje najsrożej,
Ba i ukole, dołoży,
I znów pacierze zaczyna.
Nie zważa nic starowina
Li szepcze pacierz swój gorzki.
Babka ucichła; lecz skoro
Z poblizkiej wioski się zbiorą
Dobre znajome, kumoszki,
I zaczną prawić się dziwa,
Babka pacierze przerywa.
A gdy się skończy gadanie
I nikt nie zajrzy ze świata,
To sama gęba jej lata,
Ani na chwilę nie stanie,
Jak wieczne kółko w kądzieli.
— Kiedy mnie jednak ujrzeli,
Mile i chętnie witali
Pytając, gdzie pójdę dalej.
A gdym powiedział— kobieta
Już odmłodniała, już nie ta:
,,Ha teraz będziem wiedzieli,
Kto zakróluje weselej
Po śmierci... każdy się dowie,
Że niżej będą dziadowie!"
Tak woła babka i prosi,
Bym spytał w raju i o tem
Doniósł, gdy będę z powrotem.
Dziadek zaś tylko dłoń wznosi,
W pacierzu jego pociecha."
— Tu się Piotr święty uśmiecha
I rzecze: ,,Gdy w tem pytanie,
To więcej wygra w swym kresie
Ten, który więcej przyniesie.
A z lepszem pono czemś stanie
Staruszek, bo też i prościej
Do wiecznéj dąży radości.
— Ale mój dobry człowiecze,
Bierz złoto bo ci uciecze;
Ty lubo prawisz o świecie,
Ziemskie przynosisz tu dzieła,
A pieniądz znów ci kto zmiecie,
Patrz.... druga kupka zniknęła."
— ,,Ha, niech tam ginie, nie śpieszę,
Niech się tem graniem nacieszę
Co nie wiem zkąd mnie dolata,
I tem śpiewaniem nie świata,
Pewno śpiewaniem anioła.
Nic nie ma, Święty, prócz ciebie,
Zorzy i gwiazd twego czoła,
A jednak czuję, że w niebie
Wielka się chwila odbywa!"
— ,,Tak, twoja myśl jest prawdziwa:
To Pan, Stworzyciel, z swej chwały
Spojrzał na światów przestrzenie,
To na ojcowskie spojrzenie
Wszystkie się światy ozwały...
Tę pieśń co słyszysz, bez końca
Nucą i gwiazdy i słońca,
I dobry duch śmiertelnika
Gdy jak ty: Ojcze! — wykrzyka"....

XII.

,,Kiedy tak co dzień się nużę
A nie ma końca przestrzeni,
Podszedłem wreszcie ku górze,
Gdzie się pastwisko zieleni!
Na tem pastwisku zielonem,
Od psów zażartych strzeżonem
Trawa jak bujna ruń żyta
Taka wysoka obfita;
I kwiatów mnóstwo się ściele,
I paszy pięknej tak wiele,
Że gdyby możny król jaki
Bujne te łąki obaczył,
Pod własne swoje rumaki
Zarazby pewno wyznaczył.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(Dalszy ciąg.— Patrz Nr. 45).

Choć sobie jednak powiedziała że Antek co innego, ciągle jej na myśl przychodziło coś, co go mimowolnie czyniło podobnym do Janka.

— Antek jest biednym i sierota tak jak tamten—myślała,—i obiecał mi korale także jak tamten i takie piękne jak tamte być miały... Po co on mi je obiecywał?... zkąd on weźmie pieniędzy żeby je kupić?... Janek jak tylko obiecał korale, tak zaraz przepadł... czyżby i ten...

Nie mogła dokończyć swej myśli.

Jakaś obawa ją przejęła; była niby szczęśliwa tak jak zwykle dziewczyna, kiedy w jej sercu miłość się obudzi, a przecież było jej czegoś bardzo smutno: dusza jej śmiała się niby z radości a jednak czuła, że i płakać chwilami zachciewało jej się naprawdę. Miała robaka co ją gryzł, tak jak każdy człowiek ma swego — robakiem tym było teraz kochanie.

Z Antkiem było zupełnie inaczej. Już to chłopiec zawsze sobie da radę i ze wszystkiem łatwiej się oswoi, kiedy dziewczyna nieraz to się nawet samem szczęściem frasuje.

Antek nic nie wiedział o tem, jak nie dobrą było wróżbą obiecywać korale Halce; nie troszczył się zkąd weźmie pieniędzy, bo ich miał aż zanadto w swoim pasie, mógł się więc cały oddać rozmyślaniom jakim się to działo sposobem, że oczy Halki były takie głębokie, a jej jagody takie słodkie, jak jeszcze o tem nie miał wyobrażenia.

Z pieniędzy które posiadał i o których ilości jeszcze nikomu nie powiedział, miał zrobić dwa sprawunki: kupić korale dla Halki i gospodarstwo dla siebie. Już to pewna, że powinien był myśleć wprzód o gospodarstwie a potem o koralach, — ale odkąd Halkę zobaczył przewróciło mu się jakoś w głowie tak, że w niej pierwsze były korale, bo je Halka wziąć miała sama, zaś gospodarstwo było drugiem dopiero, jakkolwiek w myśli Antka nikt inny tylko także ona miała być gospodynią tego dobytku jaki chciał nabyć.

Jak tu sobie poradzić, żeby przyjść do jednego i drugiego?... Korale — jeszcze jak korale, to można kupić na jarmarku lub na odpuście, choć nie tak łatwo trafić na tak piękne, żeby aż ludzie dziwili się ich piękności; ale gospodarstw nie sprzedają na jarmarkach, na to trzeba i sposobności, która się nie trafia codziennie i nielada znawstwa, żeby się nie oszukać na kupnie. Samemu

Antkowi ani podobna było brać się do tego, bo najpewniej by nie znalazł, a gdyby nawet znalazł toby w dziesięcioro przepłacił. Szło mu także i o to, że nie mając nikogo znajomego we wsi, gdyby pokazał komukolwiek że ma aż tyle pieniędzy w samych grubych banknotach, mogliby ludzie zacząć się czegoś złego domyślać; myśl ta przyszła Antkowi bardzo naturalnie, gdyż pieniądze które posiadał, jak wiadomo pochodziły z niezbyt czystego źródła i przeszłość Antka nie była bez poszlaki, a już to jest niezawodne, że ludzie którzy cośkolwiek mają na sumieniu, nader łatwo wpadają na myśl, że podejrzewani być mogą i bardzo się boją podejrzeń.

Długo rozmyślał Antek jakim sposobem sobie poradzić w tym ambarasie i na jedną tylko wpadał osobę, którąby mu w kłopocie dopomódz mogła. Karczmarz Dawid jedynie mógł i obiecał ułatwić mu wszystko. Ale jak tu było znieść się z Dawidem? Antek pisać nie umiał, więc o liście myśleć nie było można, iść zaś samemu po niego równem było niepodobieństwem. Dawid mu wprawdzie mówił, żeby doniósł gdzie osiądzie przez ludzi, lecz mówiąc to nie przypuszczał zapewne, żeby Antek zawędrował aż tak daleko. Że Skalic do rodzinnej wioski Antka nikt nie chodził ani nie jeździł, gdyby trzeba było koniecznie czekać na okazją, oczekiwanie potrwać by mogło z kilka miesięcy, a Antkowi zanadto pilno było przyjść do swojego gospodarstwa, żeby się chciał na taką decydować zwłokę.

Łamał więc sobie głowę nieborak coby tu począć, i co wymyślił to odrzucał. Chciał naprzykład prosić kogobądź we wsi, żeby mu list do Dawida napisał, ale jak tu było zwierzyć się komuś że ma stosunki z miejscowością, w której go może poszukują jako podejrzanego o morderstwo, którego wprawdzie nie popełnił, ale o którem wiedział i na którem skorzystał. Kto ma coś na sumieniu lęka się cienia, nic więc dziwnego że i Antek cienia się lękał.

Po różnych rozmysłach, zdecydował się wreszcie w parę dni po owej niedzieli kiedy Halce obiecywał korale, że uda się z prośbą o napisanie listu do Mrożka. Gdyby był wiedział w jakich Mrożek był stosunkach z Dawidem, byłby pewno natychmiast odstąpił od tej myśli, lecz żaden szczegół zajścia jakie mniemany Jan Świt miał z karczmarzem, nie był mu znany. Liczył na to, że Mrożek musi się go bać jako człowieka mającego wiadomość o jego zbrodni, i że mu odmówić nie zechce tak drobnej posługi. Mógł mu za to przyrzec milczenie, tak mu się przynajmniej zdawało, chociaż w istocie Mrożek bez żadnych obietnic ze strony Antka, mógł być pewnym jego milczenia, gdyż wyjawiając przed kimkolwiek tajemnicę nauczyciela, Antek skompromitowałby się sam; zawsze jednak Antek źle nie liczył, tak drobna przysługa jak napisanie listu nie mogłaby wywołać żadnej niechęci w. Mrożku, gdyby postronne okoliczności Antkowi niewiadome, nie czyniły tej przysługi daleko mniej bezpieczną dla nauczyciela.

Stało się więc tak jak się zawsze dziać musi z ludźmi, którzy postępują krzywo: samo ich położenie zmusza ich do szukania pomocy u ludzi gorszych od siebie. Antek pogardzał Mrożkiem, lecz że sam zeszedł z drogi obowiązku, fatalność go zmuszała szukać z nim stosunku.

Obmyślił sobie tedy co ma być powiedziane w piśmie, które chciał przesłać Dawidowi i o wieczornej porze poszedł do nauczyciela.

Było to w środę po owej niedzieli kiedy Halka powiedziała sobie, że Antek wcale co innego niż Janek, choć takie same obiecywał jej korale.

Musiałby zupełnie nie znać Mrożka ktoby przypuszczał, że przez te trzy dni nie posunął on ani o krok dalej wykonania swoich planów. Mrożek był z ludzi, którzy nie lubią stawać w czasie drogi, lecz ciągle idą naprzód choć powoli.

Pamiętamy, że po wyjściu z kościoła w niedzielę kiedy jego nabożeństwo, pokora i sumienność tak wielkie zrobiły wrażenie na mieszkańcach wioski, Mrożek wrócił do siebie odprowadzony pełnemi uszanowania ukłonami górali i słówkiem „Judasz,“ które za nim cisnęł Antek. Słówko to ubóść musiało Mrożka, ukłuć go w oczy, tak jak tylko prawda kłuć umie. Słysząc je doznał takiego wrażenia, jak człowiek znajdujący się ze złą myślą w tłumie nieznanych, pewny że nikt nie wie co on zajeden, tymczasem nagle usłyszy wymówione swoje nazwisko. Było mu najzupełniej tak samo niemiło, jak wówczas kiedy Antek napadając go wlesie rzekł do niego: „Jesteś Jan Świt... zabójca!“ To też z początku Mrożek wierzyć nawet nie chciał, że owo słówko usłyszał, wmawiać w siebie zaczął, że mu się ono przysłyszało, i czepiał się uporczywie nasuwającej mu się myśli, że chłopak który za nim cisnął tem słówkiem nie był tym samym który go napadł, lecz tylko typowo podobnym. Niedługo przecież mógł się opierać oczywistości i gwałtem na nią oczy zamykać.

— Byłbym nierozsądny — powiedział sobie,— gdybym koniecznie tego chłopca brał za innego, kiedy to może być ten sam. Gdyby nawet w istocie był innym, i gdyby mi się rzeczywiście przesłyszało że mnie nazwał Judaszem, cóż na tem mogę stracić, że będę względem niego ostrożnym i jeśli będzie można zręcznie wykurzę go ze wsi?...

Postanowił sobie tedy śledzić o ile będzie można czynności Antka i czatować na sposobność, żeby go się pozbyć w jakibądź sposób, jako niebezpiecznego świadka swojej zbrodni.

Tej samej jeszcze niedzieli, Mrożek postanowił zabrać się na serjo do wejścia w obowiązki nauczycielskie. Rzecz prosta, że nie w interesie oświaty ludu tak się śpieszył, lecz pragnął poznać mieszkańców Skalic i przyzwyczaić ich do siebie, pragnął nadto jak najprędzej zająć się czynnościami swego nowego stanu, gdyż pełnienie tego rodzaju obowiązków kazałoby zapomnieć wkrótce, że był zupełnie świeżym do wioski przybyszem i przynajmniej dla obcych na pierwszy rzut oka dawałoby mu charakter nieco dawniej osiadłego Skalic mieszkańca.

Zaraz więc po południu wyszedł z swego domostwa i zaczął obchodzić wszystkie chaty po kolei, pod pozorem przeglądu ile w której jest dzieci i skłonienia rodziców, żeby je posyłali do jego szkółki. Sądził, że tym sposobem będzie się mógł spotkać z owym chłopcem, który przed chwilą nazwał go Judaszem i że się rozmawiając z nim

przekona na pewno czy to ten sam, który go napadł na drodze. Spotkanie to i rozmowa nie miały w sobie nic bardzo pocieszającego dla Mrożka, zrezygnował się na to jednak gdyż powiedział sobie, że tak bliska bytność owego napastnika świadomego tak ważnych okoliczności, mogła być dla niego niebezpieczną,—więc potrzeba było sprawdzić tę bytność, albowiem niebezpieczeństwo tym jest łatwiejszem do pokonania, im lepiej znamy całą jego doniosłość!

W czasie tego obchodu, Mrożek naturalnie nie mógł pominąć chaty Kałata. Wszedł do niej, zobaczył tam Halkę i przypomniał sobie jej rysy. Halka była uderzająco piękna, a Mrożek lubił piękne oczy; kiedy więc chwilowo i nieznacznie spoglądał w ową stronę, z której go dobiegało przezwisko Judasza, spostrzegł ją obok Antka i piękność jej zapamiętał mimowolnie. Nie trudno mu było się domyśleć, że jeśli chłopiec był przy Halce, to go pewno jej oczy na uwięzi trzymały i teraz mając sposobność do rozmowy z dziewczyną, chciał się od niej czegoś więcej o nim dowiedzieć.

Po przedstawieniu się zatem i kilku słowach gawędki, jaką we wszystkich chatach prowadził, zapytał jej niby niechcący.

— Czy masz brata w Skalicach?

— Brata?—odpowiedziała Halka—nie, nie mam żadnego.

— Więc to nie brat ten, z którym powracałaś dzisiaj z kościoła?

— Toście go widzieli? — rzekła rumieniąc się cokolwiek i spuszczając oczy dziewczyna.

— Widziałem — odrzekł Mrożek, — przypadkiem mi wpadł w oko... ale tobie pewno nie przypadkiem, bo ładny chłopiec...

— I! ja go tam nie znam prawie, on tu ledwie od wczoraj we wsi...

— Od wczoraj — powtórzył Mrożek, — no, to prawda, że go jeszcze znać nie możesz... a chłopcom nie trzeba wierzyć, trzeba się wprzód przekonać czy to dobre, poczciwe, bogobojne... bo jeżeli to bezbożnik jaki, jaki ladaco, jaki latawiec, co tylko dziewczynom w głowach zawraca...

— I! on tam taki nie musi być, — przerwała Halka, której nie było przyjemnie słuchać krzywdzących o Antku przypuszczeń.

— Ja też tego nie mówię, Boże broń — śpiesznie zmieniając ton prawił Mrożek,—ja o nikim a nikim źle nie mówię, bo to grzech widzieć słomkę w oku bliźniego, a w swojem belki nie widzieć, mnie się nawet zdaje że to musi być jakiś poczciwy chłopiec, bo i ładny jak malowanie i dobrze mu z oczu patrzy...

Halce się miło robiło słysząc pochwały Antka, czuła za nie jakąś wdzięczność dla nauczyciela i to ją życzliwie dla niego usposabiało.

— Ale zawsze i ty Halko jako rozsądna dziewczyna, nie powinnaś mu oddawać serca, póki go doskonale nie poznasz... sam ksiądz proboszcz by ci inaczej nie poradził.

— Już w tem to macie racją, panie bakałarzu — odpowiedziala Halka, —ja tam o nim jeszcze wcale nie myślę i on też o mnie pewno nie... szedł ze mną, bo mu tędy droga do chaty wypadła...

— Więc on nie mieszka w Skalicach, a gdzie?

Halka nie wiedziała i z pewnym kłopotem to wyznała, gdyż przed chwilą twierdziła tak na pewno, że droga Antkowi koło jej chaty wypadać musiała. Mrożek spostrzegł to jej pomięszanie i jeszcze bardziej się utwierdził w przekonaniu, że na Antka oczy Halki tak oddziaływały jak magnes na żelazo, i że o tej swojej mocy przyciągającej bardzo dobrze wiedziały, a nawet były z niej kontente.

— A jakże on się nazywa?—badał ją dalej.

— Wiem tylko, że mu na imię Antek—odrzekła i chcąc uniknąć dłuższego badania, które ją nabawiało jakiegoś kłopotu, widziała bowiem że nauczyciel podchwycił tajemnicę jej serca, zwróciła rozmowę na jakiś szczegół gospodarski, a Mrożek nie nalegał już więcej, dowiedział się bowiem jak na pierwszy raz aż zanadto.

Antek mieszkał chwilowo w jednej z owych zatraconych chat, położonych w pewnej odległości na uboczu po za wsią. Ksiądz i wojak rzadko do chat takich zagląda, jak powiadają podhalanie. Kiedy się podróżny zapyta do jakiej wsi taka chata należy, to ten wymieni jedną wioskę, drugi inną, a niejeden chociaż w okolicy całe życie przepędził, zgoła nazwiska miejsca nie wie. To też Mrożek nie zaszedł do chaty, w której mieszkał Antek, chociaż ją było widać zdaleka na wzgórku, ale mu się zdawało że to domowstwo już do Skalic nie należy. Wytłómaczył sobie, że Antek musi mieszkać w jakiej sąsiedniej wiosce, lub po prostu po górach rozbojem się trudni, i tylko za Halką przyszedł do kościoła w Skalicach. Nie spodziewał go się zatem zobaczyć aż dopiero następnej niedzieli i obmyślał jakimby sposobem się pozbyć tego natrętnego świadka swej zbrodni, ale do środy nic jeszcze stanowczego nie obmyślił.

Tymczasem rozpoczął naukę w swojej szkole, do której dosyć ochotnie posyłać zaczęli dzieci Skaliczanie. Nikt nie przypuści, żeby Mrożek z przyjemnością i zapałem zabierał się do wykładania młodemu pokoleniu tatrzańskiej wioski zawikłych mysterjów nauki czytania, nieźle jednak odgrywał zamiłowanie do tego rodzaju zajęcia, a jeszcze lepiej miłość dla dzieci które mu powierzono. Odrazu dokazał tyle, że wszystkie dzieciaki porozchodziwszy się do domów o niczem więcej nie prawiły rodzicom, jak o dobroci nauczyciela. Nazajutrz te, których poprzedniego dnia nie posłali rodzice napierać się zaczęły, żeby iść z innemi do szkoły, a na trzeci dzień całe Skalice jak długie, grzmiały znowu pochwałami bakałarza, którego sława nauczycielska omal nie zaćmiła sławy pobożnego i sumiennego człowieka, jaką sobie zrobił w niedzielę.

Wszystkiego tego dokazał Mrożek za pomocą trochy łakoci które rozdał dzieciom, a większej jeszcze dozy pieszczot, pobłażania i dobrych słów. Nie nauczył ich wiele więcej prócz tego o co mu jedynie chodziło, to jest że lepszego nauczyciela jak bakałarz skalicki nigdy i nigdzie na świecie nie było i być nie może.

We środę nad wieczorem zdawał właśnie przed sobą sprawę z tego, co w tak krótkim czasie dokonał.

— Jan Świt może mi być wdzięczny — mówił do siebie, — robię mu takie imię, jakiego byłby sobie pewno sam nie zrobił. Już dziś tyle dokazałem, że gdyby tu kto stanął i powiedział, że

byłem kiedyś Mrożkiem, toby począwszy od proboszcza aż do ostatniego dziecka we wsi, wszyscy jednogłośnie krzyknęli że to niepodobieństwo i że niema nademnie świętszego człowieka. A jam przecie nie święty, tylko mądrzejszy od nich wszystkich. No, ale właśnie dla tego żem od nich mądrzejszy, nie mogę poprzestać na tem, że wszyscy mogliby i powinni oddać mi świadectwo poczciwości. Ja potrzebuję takich, co będą musieli za mną świadczyć. Dziś mam tylko ich uznanie. Chociaż są przekonani żem poczciwy człowiek, nie mają przecież interesu w tem, żeby o mej poczciwości świadczyć w razie potrzeby. Ja chcę żeby mieli w tem interes, będę musiał tego dokazać i dokażę niezawodnie.

Snując ciąg takich myśli, Mrożek przyoblekł swą twarz wyrazem niekłamanego bynajmniej zadowolenia. Czuł się bezpiecznym, pewnym przyszłości, drogę miał przed sobą wytkniętą, spokój mu wrócił na chwilę i było mu z nim tak błogo, że wmawiał w siebie, iż ten spokój trwałym być może.

W tej chwili otworzyły się drzwi i twarz Mrożka inny wyraz przybrała. Muskuły jéj ściągnęły się konwulsyjnie i wykrzywiły ją bardzo nieprzyjemnym grymasem. Dreszcz zimny przebiegł mu po skórze.

Z wyrachowań jego i przypuszczeń wypadło, że Antek niezawodnie unikać go będzie, a tymczasem Antek właśnie stanął przed nim.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

NOWOŚCI LITERACKIE.

Z miasta i ze wsi. Zbiór powieści ze zdarzeń prawdziwych, przez Emilję Leja. Warszawa. 1867.

Dawnośmy się już nie spotkali z tak sympatyczną książką. Z kilkudziesięciu zawartych tu powiastek nie znaleźlibyśmy ani jednej, którejbyśmy jakikolwiek zarzut uczynić mogli. We wszystkich przebija się najwyższa moralność, przybrana w szaty żywo i zajmująco opowiedzianej historyjki. Gdybyśmy już nawet i w tytule nie wyczytali, że powiastki te wzięte są ze zdarzeń prawdziwych—to czytając je, pomimowoli przychodzimy do przekonania, że one istotnie wzięte zostały z życia, że autorka była świadkiem, lub przynajmniej słyszała gdzieś opowiedziane przez się wypadki; bo czyliżby mogła opowiedzieć je tak prosto, tak rzewnie, tak serdecznie, że nieraz czytelnikowi aż serce się zaśmieje, aż oko łzą zajdzie...

Przeznaczeniem ich jak się zdaje, jest rozejść się pomiędzy lud miejski i wiejski, wszakże tak przystępnie, jasno i zrozumiale, a co najważniejsza skromnie są napisane, że i dzieci wieleby z nich skorzystały. Ztąd też książkę tę polecamy wszystkim stanom i klassom, nie wątpiąc, iż słowom naszym przesady nie zarzucą.

Wyjątków ani przytoczeń żadnych nie czynimy, bo musielibyśmy chyba całą książkę przepisać. Zresztą nie czynimy tego i z tego jeszcze powodu, iż książka ta niską swą ceną (60 kop. za 16 arkuszy druku) i dla najskromniejszej nawet kieszeni jest dostępną.

Na krótkiej tej wzmiance kończymy nasze sprawozdanie, życząc szczerze powiastkom pani Lei powodzenia, na jakie w zupełności zasługują. *Mścisław K.*

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Panu Grzegorzowi B. z nad Bugu.* Zapytujesz Pan, jaki jest najtańszy i najpraktyczniejszy przyodziewek dla mężczyzn, ochraniający głowę podczas chłodów i słoty?

Odpowiadamy na to— że *baszłyk czerkieski.* Jest to bliski powinowaty, a może i rowieśnik kapturów przyszywanych do burnusów beduińskich i ukraińskich świtek, podniesionych do pewnego rodzaju ulepszenia w fabryce *Sławuckiej* Wołyńskiej gub. *Baszłyk* jednak przed jednemi i drugiemi ma to pierwszeństwo, że może być użytym w razie potrzeby do każdego innego zwierzchniego ubrania, nieprzeciążając zbytnie jak burka ukraińska albo Sławucka. Przy tem wzięty podczas podróży na zapas, mało potrzebuje miejsca do schowania i bardzo tanio kosztuje. Nienależy go bowiem kupować po sklepach, gdzie pospolicie płaci się po 3 ruble srebrem, a najlepiej sporządzać go samemu z tak zwanego *wielbłądziego sukna.* Wówczas kosztować będzie nie więcej kilku złotych, i z pewnością wystarczy na dłużej od najtańszej chustki kramnej, i lepiej od każdej chustki lub szala ochrania głowę od mrozu, wiatru i deszczu, bo osłania ją wraz z kołnierzem zwierzchniego ubrania i tym sposobem zabezpiecza od zawiania lub przemoknienia.

— *Panu Kon.... Saw.... w Zaborowie.* Za nadesłanie do Opiek. Dom. utworów tak prozą oraz wierszem, najserdeczniej dziękujemy; lecz z takowych niektóre tylko w Opiekunie wydrukowane zostaną.

Czytelnikowi Opiek. Dom. z Kalinówki podolskiej. Pismo tygodniowe illustrowane „*Opiekun Domowy*,“ wychodzić zaczęło z początkiem 1865 r. obecnie więc liczy już blisko trzy lata istnienia; komplety z dwóch lat poprzednich stanowiące dwa tomy zbroszurowane z 500 przeszło rycinami, nabywane być mogą za zgłoszeniem się wprost do Redakcji, oba tomy za rs. 5, pojedyńczo każdy po rs. 3; koszta ich przesyłki pocztą, Redakcja przyjmuje na siebie.

— *Panu Edwardowi Wr...* w Warszawie. Bajeczka „Staś“ oraz wiersz „Żebrak,“ jako nieodpowiadające swą treścią zasadom pisma, w Opiekunie Domowym drukowane nie będą, rękopisma za zgłoszeniem się do Redakcji, zwrócone zostaną.

— *Panu Wiktorowi..... M. w Warszawie.* Poezja „Do Marji,“ w Opiekunie Domowym drukowaną być nie może.

— *Pani Marji Z.* w *Dąbrowie.* Prześliczny wierszyk pod tytułem: *Abecadło dla młodych kobiet*, wkrótce w Opiekunie wydrukowanym zostanie. Prosimy o dalsze współpracownictwo.

— *Panu Juljanowi Iz.. w Żelaznej.* Artykułów pańskich szczególniej też wierszem, jakkolwiek dobremi chęciami nacechowanych, w żaden sposób drukować nie możemy.

— *Panu Marcelemu w Kaliszu.* Bajeczka „Wiewiórka,“ nie ma żadnych warunków bajki ani poezji; artykułowi zaś „O poezji polskiej“ brakuje głównego warunku t. j. poglądu krytycznego, zresztą lepsze daleko i obszerniejsze z znajomością rzeczy opracowane rozprawy, znajdują się w każdej książce szkolnej traktującej o literaturze.

— *Pani K. prenumeratorce z Nowogrodzkiej ulicy.* Wyjaśnić przyczynę dla czego mąż pani przestał pracować i panią kochać, a natomiast rozpoczął pić i inną kochać—nie jest w naszej możności. Potrzeba znać wszystkie okoliczności domowego waszego pożycia, a co więcej wszystkie kłopoty poza domowe, jakie mogły wpłynąć na zmianę usposobienia pani męża. Tak raptowna zmiana po dwóch latach dobrego pożycia, musiała mieć jakąś głębszą przyczynę. Może go pani sama za mało kochasz, może za wiele wymagasz od niego pracy a sama mało przykładasz się do pomnożenia funduszu na utrzymanie domu, zresztą może za nadto pani jesteś zazdrośną. Zbadaj pani siebie dokładnie, wyszukaj przyczyn, jeżeli one od ciebie pochodzą, staraj się je usunąć, jeżeli zaś nie wypływają z twej winy, bądź cierpliwą, wytrwałą i łagodną a wierną i zawsze silnie kochającą,—a cierpliwość twa, łagodność, wierność i miłość bezinteresowna, nawrócą w końcu z błądzonego, który może uległ chwilowej tylko chorobie moralnej, na którą nie można nigdy znaleść zupełnie skutecznego lekarstwa. Może zresztą znasz pani jaką osobę, którą mąż twój szczególniej szanuje, udaj się do niej, a ta niech drogą rozumnej reflekcji postara się wpłynąć na zmianę jego usposobienia.

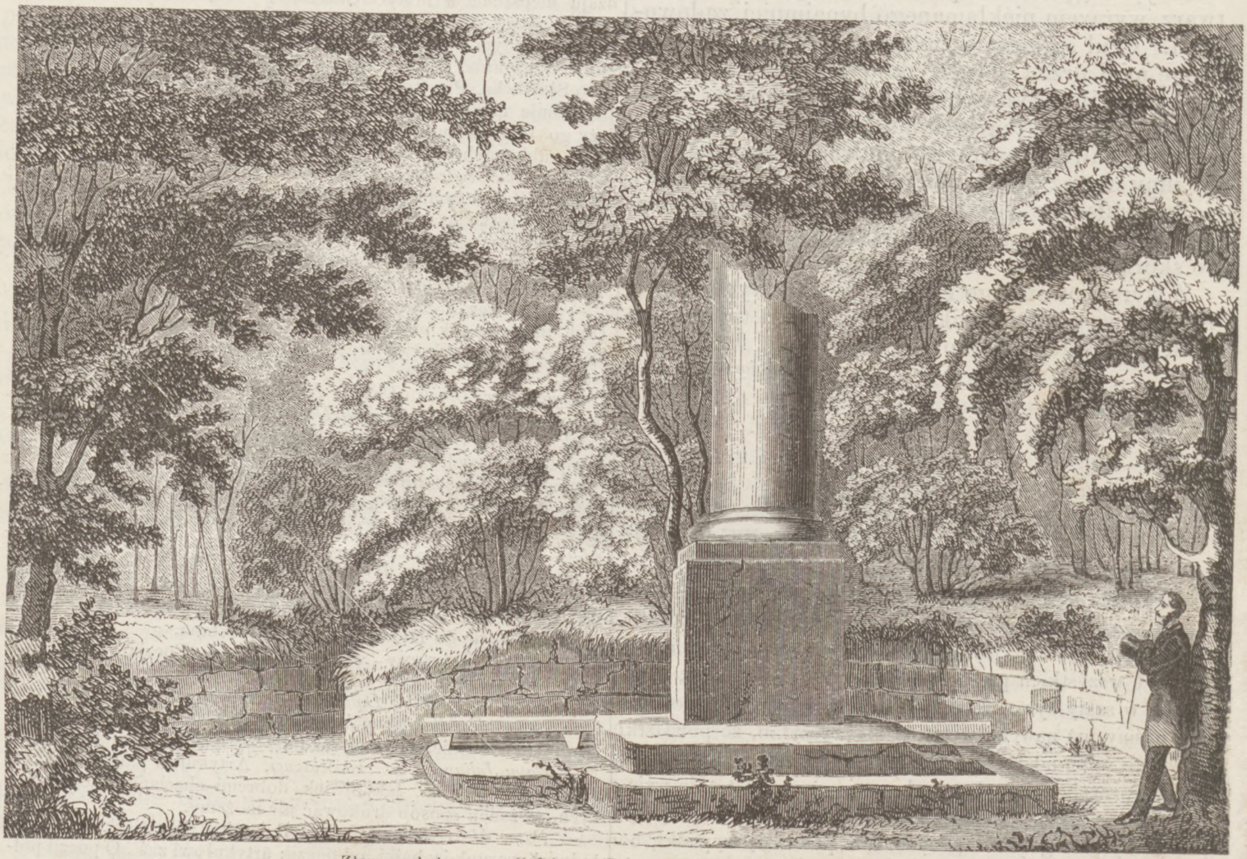
ROZMAITOŚCI.

— **Wzrost wartości ziemi.** Grunt na którym stoi dziś miasto Cincinnati w Ameryce północnej, sprzedanym był w r. 1800 za jednego konia. Dodać wypada, że nie był to bynajmniej koń wyścigowy, ani wierzchowiec czystej krwi. W dziesięć lat później już na tym kawałku ziemi stało miasteczko liczące 2,540 mieszkańców, którego ludność w przeciągu pół wieku (1810—1860 r.) powiększyła się przeszło sześćdziesiąt razy, wynosiła bowiem 160,188 głów. Wartość ziemi zabudowanej tym grodem, liczy się dzisiaj na dziesiątki miljonów dolarów.

Inny przykład tegoż samego rodzaju przedstawia ziemia, na której stoi New-York, — najludniejsze miasto Nowego Świata. W r. 1624 sprzedaną ona została za 24 dolary; w r. 1810 miasto stojące na niej miało dopiero 96,377 mieszkańców; w roku zaś 1860 ludność New-Yorku wynosiła 814,277 mieszkańców, a ziemia którą zajmuje to miasto szacowaną jest na miljardy.

— **Targi w Warszawie.** W ostatnich czasach rozmieszczenie targów warszawskich uległo zmianie. Targ zboża i siana na Grzybowie zniesiony został, a na jego miejsce założono dwa targi na zboże i siano: jeden przy ulicy Siennéj, drugi na Lesznie pod okopami. Targ zaś wiktuałów za Żelazną-Bramą uległ także zmianie. Wszyscy sprzedający w kramach, koszykach i t.p. zostali na dawnym placu za Żelazną-Bramą, wozy zaś przybywające na targ, stawać muszą na placu Grzybowskim, oddzielonym jak wiadomo od Żelaznéj-Bramy całą ulicą Graniczną. Rozpołowienie takie targu nie jest wcale dogodnem dla kupującej publiczności—potrzeba biegać z jednego placu na drugi, a to jest uciążliwem. Nam się zdaje, że możnaby temu zaradzić. Głównie ścisk za Żelazną-Bramą czuć się daje na jesieni, gdy włościanie dostawiają kartofle, kapustę i owoce. Otóż możnaby temu ściskowi zaradzić raz na zawsze, wykluczywszy z kartoflami, z kapustą i owocami z za Żelaznej-Bramy i przeznaczywszy dla nich Grzybów; tam także możnaby pomieścić ryby. Resztę zaś towarów zostawić za Żelazną-Bramą.

— **Sztuczne złoto.** W Ameryce odkryto kompozycją do złudzenia naśladującą złoto, gdyby tylko waga nie zdradzała, że mięszanina nie jest złotem rzeczywiście. W celu utworzenia tego aljażu bierze się 100 części czystej miedzi, 17 czystej cyny, 6 magnezji, 9 winnego kamienia, 3, 6 amonjaku i 1,6 nie gaszonego wapna. Naprzód roztapia się miedź, następnie cząstkami dodaje się wapno, magnezją, amonjak i winny kamień, mięszając razem przez godzinę, ażeby massę uczynić jednostajną; potem małemi kawałkami dorzuca się cyna, mieszając podobnież dla ujednostajnienia massy; wreszcie zatyka się tygiel i pozostawia przez pół godziny na ogniu, po czem potrzeba odszumować i czynność skończona. Kompozycja ta jest nader giętką i ciągłą, można z niej robić wszelkie gatunki drutu nadzwyczaj mocne, oraz walcować arkusze tak cienkie jak malarskie złoto, którego okiem odróżnić jej niepodobna.



Złamana kolumna w Zofjówce. (Drzeworyt Petersburgski, do str. 370).

PRZYSŁOWIE W PIOSNKACH.

„Był to koń ale się zjeździł."

Był to konik — co nie lada,
Czystej rassy — ani słowa,
Jakie nóżki, ócz osada,
Co za uszy, co za głowa!

Lecz się zjeździł — same kości,
Od ochwatu wklęsły uda,
Zlękowaciał ze starości,
A na nogach wieczna gruda.

Był wierzchowcem w lata młode,
Biegał kursa do zakładu,
Dziś na kuchnię wozi wodę
I ma za to — wór pośladu.

Jan Prusinowski.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.